

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Wychowanie świeckie kobiet. — Stowarzyszenie niższego nauczania dziewcząt. — Kontrowers władzy świeckiej z duchową. — „Ojcowie i dzieci” przez p. Legouvé. — „Kazania Bossueta. — Bossuet kaznodzieja” przez p. Gaudar. — „Myślicy hiszpańscy” przez p. Rousselot. — „Roman d’une honnête femme” komedya Barriera. — „Les Faux Boushommes” tegoż. — „Historya literatury francuzkiej przed Karlomanem” przez Ampéra. — Kurs Ludwika Wołowskiego. — Wiadomości literackie.

Najżywotniejszą obecnie kwestyą w Paryżu jest nauczanie niższe dziewcząt, które minister oświecenia Duruy zaprowadził od pierwszego grudnia w całej Francyi. Wychowanie kobiet z rąk duchownych przechodzi w ręce świeckie. Zaprawdę, jest nad czem zastanowić się głęboko. Fakt dokonany. Duch czasu mu przyklasnął; przeszłość protestuje, a ludzie sprawiedliwi ważą obustronne argumenta za i przeciw ministrowi.

Trzebali ograniczyć wychowanie dziewcząt do programu nauki elementarniej, czy też lepiej dodać do tych początków obszerniejszą znajomość historyi piśmiennictwa, a nawet nauk przyrodzonych?

Tak postawioną tę kwestyą, oddawna tu rozstrzygnęły rodziny zamożniejsze. Prywatne kursa historyi literatury i historyi naturalnej, codziennie na wielu miejscach wykładane w Paryżu, dopełniają niedostatki nauki elementarniej. Obecność kobiet na kursach we francuzkiem kolegium, jak niemniej na lekcjach paryzkiego konserwatorium sztuk i rzemiosł, świadczy wyraźnie o chęci rozwijania gustu i umysłu, przynoszącą zaszczyt tegoczesnej społeczno-

ści. Potrzeba nauki wyższej dla kobiet, jest więc nie urojona potrzeba. Ale powyższe wykłady zaspakajające pragnienie wiedzy, są usiłowaniem odosobnionem, którego działanie nie rozciąga się po za grono osób lepiej obdarzonych umysłowo i finansowo.

Minister oświecenia Duruy, idący ciągle z duchem czasu, postanowił dać wychowaniu dziewcząt rozwój odpowiadający wychowaniu, jakie tu odbierają chłopcy. Ci wyszedłszy ze szkół, mają przed sobą otwarte licea i szkoły wyższe, nie licząc szkół specjalnych, a później wydziałów wyższego nauczania. Duruy chcąc dać dziewczętom choć jeden kurs nauk wyższych, ufundował dla nich nauczanie niższe. Obiegnikiem z 30 października zażądał od administracyi miejskiej, wyznaczenia na ten cel lokalu, sam w imieniu Państwa ofiarował narzędzia i książki naukowe, oraz wezwał profesorów licealnych i wydziałowych, do wzięcia czynnego udziału w tém nauczaniu.

Jednocześnie, chcąc dopomóc urzeczywistnieniu pomysłu ministra, zawiązało się w Paryżu *Stowarzyszenie nauczania niższego dziewcząt*, złożone z profesorów uniwersyteckich i prywat-docentów.

Kurs rozpoczął się w Sorbonie 1 grudnia. Rozłożony jest na lat trzy: obejmie literaturę, historią, geografiją, ekonomiją domową, żywioły prawa cywilnego, nauk przyrodzonych i początki matematyki. Języki żyjące nie wchodzą w program, ale będzie dodatni kurs rysunku. Kursu trwać będą od 1 grudnia do 31 maja, odbywać się mają trzy razy na tydzień, po dwie godziny, od pierwszej do trzeciej. Z tych lekcyi uczennice muszą zdawać sprawę na piśmie. Streszczenia kursu professorskiego posłużą im w końcu roku do egzaminów, po których, odznaczającym się uczennicom, Stowarzyszenie rozda nagrody. Po trzechletnim kursie, dyplom *fin d'études*, odpowiadający dyplomowi nauczania specjalnego, będzie mógł być dany uczennicy przez Stowarzyszenie, po egzaminie dokonanym przez osobną komisyją. Wpis kwartalny 75 franków. Każda uczennica ma prawo przyjść z matką lub z guwernantką.

Mimo dość wysokiej opłaty, dziewczęta cisną się do Sorbony.

Jaki będzie rezultat téj próby? Zależy to całkiem od wykładu. Nie trzeba, żeby professorowie założyli sobie kształcić kobiety do urzędów publicznych, na doktorów lub adwokatów. Przed prawami ludzkimi idą prawa natury, która wskazała zadanie ojca i zadanie matki w życiu społeczném. Kobiety literatki są tylko wyjątkami, czasem świetnemi, zwykle bardzo nędznemi. Kobiectwie, jak i mężczyźniom przedewszystkiem potrzeba rozwoju cnoty, ukrzepienia nia charakteru. Świętość domowego ogniska za tę cenę.

Ale z drugieij znów strony, wśród ruchu umysłowego ogarniającego całą dzisiejszą społeczność, nie trzeba żeby istniał zbyt wielki przedział pomiędzy wychowaniem daném ojcu rodziny, a tém które otrzymuje matka. Ta mianowicie ma w domu trudne a szlachetne zadanie, do którego wyższa uprawa umysłu jest niezbędną. Zbawiennym więc będzie wykład, który nie zapuszczając się zbyt daleko w rozumowe przestrzenie, rozprzestrzeni wiedzę elementarną.

Dotąd wykład w Sorbonie wydaje się tak pojęty. Dobrodziejstwa takiego kursu biją w oczy; a jednak, duchowieństwo francuzkie powstało gwałtownie przeciwko nauczaniu świeckiemu dziewczyn. Organem kościoła jak zazwyczaj, jest biskup orleański. Zaraz po ogłoszeniu ministeryalnego okólnika, wystąpił on z filipiką przeciwko niemu, napisaną w formie listu do kolegi; powstaje na niemoralność jaką nauczanie świeckie zaszczepli w dziewczęta „które dotąd wychowywane na *kolanach Kościoła*, przeszły w objęcia *uniwersytetu*”.

Ubolewać potrzeba, że tak wysoki dostojnik duchowieństwa, prawdę swoją popiera szyderstwem. Drwiny, dwuznaczniki grube, dobre w komedyi Arystofanesa; nie wydają się stosowne w ustach prałata zwracającego, jak mówi, uwagę powszechności, na grożące jéj niebezpieczeństwo.

Zrazu, powodu gniewu biskupa dopatrzeć trudno. Pan Duruy mógł się pomylić w szczegółach swojej instrukcyi, ale nic w nich nie usprawiedliwia tak wielkieij zawziętości. Minister twierdzi, że wychowanie niższe kobiet nie istnieje we Francyi; przypuściwszy, że się myli w tym względzie, toż nie jest zbrodnia. Porucza professorom licealnym zapelnienie téj luki: może zbyt wiele wymaga od ludzi bardzo już



zatrudnionych, ale to tylko złe rozporządzenie administracyjne. Że oddaje sale i książki temu nauczaniu; to także nie zdrada stanu, nie powód do oburzenia. Widocznie wszystkie wymienione urazy nie są prawdziwemi; inna kryje się na dnie: pan Duruy chce rozciągnąć nauczanie świeckie do kobiet:—oto jego zbrodnia. Młodzież męzka już na łup tej nauki wydana, cóż będzie skoro kobiety poczną żyć tem samém życiem umysłowém i moralném, co ich mężowie i bracia? Margrabia Dupenloup nie łudzi się co do natury nauki cechującej młode uczennice; pyta ministra, czy pewny jest doktryn trzech tysięcy professorów licealnych? Jakżeby oni mogli być prawowjerni, kiedy sam minister jest nim tak mało. Biskup boleje nad pojęciami ministra, upokarza go wszechstronnie, gada mu rzeczy moczone w wityolu.

Ale cała ta szarża prawdopodobnie zostanie bezskuteczną: co najwięcej, jeżeli początkowo zatamuje popęd ogólny ku Sorbonie, Prałat mądry i wielmożny, tą razą bitwy nie wygra, gdyż ją wydał duchowi czasu, a duch czasu się nie cofa. Nauczanie przechodzi w ręce świeckie i nie wróci już w duchowne, które w swoim czasie, *wyłącznie* dawały światło. Żony muszą się dostroić do wyobrażeń mężów, od tego zawisło szczęście domowe. Nie ma życia rodzinnego godnego tej nazwy, skoro pomiędzy jego członkami zachodzi wielka różnica sposobu myślenia i uczucia. W łonie Francyi obecnie toczy się walka: władza świecka i duchowna wydzierają sobie kobiety. Chodzi o to, przy kim one zostaną? Kto je będzie miał po sobie, przy tym zostaną cugle przyszości, jeżeli nie świata, to Francyi.

Chociaż lekcye rozpoczęto w Sorbonie, walka jeszcze nie rozstrzygnięta trwa zażarcie. Śmiało powiedzieć można, że wszystkie siły umysłowe przedstawicieli obu obozów, skupione teraz w ten jeden punkt stanowczej wygranej.

---

Trafiając w zajęcia ogólne, p. Legouvé wydał książkę o wychowaniu pod tytułem: *Les Pères et les enfants au XIX siècle*.

Są dwa rodzaje piszących o wychowaniu: moralisci i specjaliści. Najślawniejsi, jak Montaigne, na temat wychowania moralizowali; z powodu wychowania prawili o ró-

żnicach charakteru, gatunku dusz, rodzajach umysłu i tém podobnych rzeczach psychologiczno-transcendentalnych. Inni, mniej sławni, więcej się ograniczyli: podłożyli zasady i wywiedli ich następstwa. *Emil* należy do téj szkoły mniej powabnej, ale użyteczniejszój. Pan Legouvé także praktycznie uważa kwestyą wychowania. Podjęte przez niego przedmioty są kwestyami zasadniczymi, które ile może stara się rozwiązywać. Książka jednak nie jest wcale pedancka, przeciwnie, jest świetna i dość nowa w gruncie. Pojawienie jój zdziwiło wielu.

Legouvé zajmował zaszczytne stanowisko w piśmienictwie francuzkiém, próbował talentu w rozmaitych rodzajach, wyjąwszy pedagogicznego. Niespodzianie i w tym przedmiocie okazał się niepospolitym.

W téj książeczce o wychowaniu, najwięcej zajmowała go powaga rodzicielska. Zdaniem p. Legouvé, powaga ojca przeszła też same przeobrażenia co powaga monarsza. Dawniej, powiada, istnienie ojca i dzieci było rozdzielone. Tylko w chwilach obiadu lub spoczynku, przyprowadzano dziecko ojcu; skoro otrzymało od niego nieco pieśszcot zmieszanych z mądrymi napomnieniami, guwernantka wyprowadzała dzieci, i zasłona pomiędzy niemi a rodzicem zapadała. Ztąd wynikało, że ojciec pozostawał dla dzieci zawsze w stanie sędziego, albo ukrytego oczom Boga. Nie widziały jego słabości, nie cierpiały z powodu wad jego; złudzenie pobożne utrzymywało dzieci w téj zbawiennój trwodze, bez którój nie ma głębobiego szacunku.

Dziś zmieniały się rzeczy. Równość sprowadziła podział majątków a następnie ich pomniejszenie. Warunki życia domowego są inne. Mniejsze domy zmuszają mieszkańców do częstszego zetknięcia. Nie ma już osobnych dziecinnych pokoi, ani guwernantek pilnujących je dniem i nocą. Mniej jest służących, co jeszcze częstszą powoduje styczność dzieci z rodzicami. „Z tego wynika, że dzieci widzą wady rodziców, że poufałość zajęła miejsce uszanowania, a skoro przyjdzie rozkazywać, stoimy w obec dzieci odarci z uroku; ciągle styczność go zużyła; nie mamy powagi, pomniejszyła ją codzienne obcowanie; nie mamy mocy przekonywania, bo żeby dać się przekonać, trzeba wierzyć w przekonywanego, a dzieci nasze już w nas nie wierzą”.

Nie wierzą! W tém całe zło. Pan Legouvé sądzi, że to zło nie jest bez lekarstwa. Stwierdziwszy powyższy stan rzeczy, powiada, że ojciec może odzyskać straconą powagę opierając ją na innéj zasadzie, *zasadzie przywiązania*. Żywa i inteligentna czułość, powinna zastąpić nieobecność sztucznego uroku. Niech ojciec kocha mocniej i lepij, niech wychowa najpierw w piersiach swoich miłość ojcowską, a wszystko będzie dobrze.

W tém autor ma zupełną słuszość. Absolutyzm ojca zastąpiony przez miłość, zwróci jemu powagę. Władzy nie odzyska, ale ta nie będzie potrzebna. Dotąd mieszano zawsze dwie rzeczy całkiem różne: *powagę i władzę*. Władza działa siłą fizyczną, *powaga* siłą moralną; panuje ona nad duszą, działa wpływem. Ojciec mający *powagę*, będzie miał zawsze dosyć *władzy* nie wzywając na pomoc kodeksu; ojciec zaś który ma tylko *władzę*, jej nawet nie posiada, ponieważ prawo do niej dają zalety stanowiące podstawę *powagi*.

Jeżeli tak jest, na nic się nie przyda ubolewać nad faktem: należy jedynie wyciągnąć zeń korzyści. Rzecz się ma jak z demokracją zalewającą dziś świat: jest-li ona złem czy dobrem? Przedewszystkiem jest faktem, którego zapominać niebezpiecznie, przeklinać daremnie, a który stał się punktem wyjścia wszelkiej teoryi i czynu politycznego.

Teraz ojcowie powinni rządzić miłością, inaczej nie będą słuchani. Miłości i poświęceniu rodzicielskiemu, odpowiada przywiązanie dzieci. Subordynacya, posłuszeństwo i uszanowanie są obowiązkami, ale obowiązkami nałożonemi stosunkiem w którym po jednej stronie stoi siła, doświadczenie, wiedza; po drugiej potrzeba, słabość i nieświadomość. Święty charakter stosunku o którym mowa, pochodzi ztąd, że nie jest sztuczny ani umówiony, ale przyrodzony, czego dowodzi to, że się ciągle modyfikuje, przemienia wraz z wiekami. Powaga nie jest rzeczą teoryi: jest ona całkiem osobista; nie nakazuje się: nie nada komu jej brak, jest ona jedną z wysokich zdolności człowieka ducha. Ponieważ wychowanie jest przedewszystkiem rzeczą powagi, to jest wpływu osobistego, wychowanie będzie zawsze téjże natury co wywierana powaga; będzie tem, czem nauczyciele, a mianowicie czem ojcowie, ci naturalni nauczyciele dzieci.



Krótko mówiąc, reforma wychowania nie zależy od naszych dyskusji o zasadach powagi i przywiązania, ale od zdrowia i życia moralnego obywateli. Dopóki człowiek będzie słaby, namiętny, drażliwy, ograniczony, wiedziony zachceniami, dopóki będzie igraszką swoich przywar — wychowa dzieci na swój obraz i podobieństwo: niegodny szacunku nie wzbudzi go, niewolnik popędów chwilowych, będzie się uciekał naprzemiany do surowości brutalnej, albo do czułości znuwiesciałej, i nie otrzyma ani podległości, ani prawdziwego przywiązania, bo dziecko słucha tego tylko, którego kocha, a kocha tego jedynie, kogo szanuje, to jest tego w którym czuje silny charakter. Wychowanie może zapewne być udoskonalone przez wyrozumowane metody, ale ostatecznie, w każdym kraju co sam się rządzi, tyle warte ile warci sami obywatele: jest ono wyrazem ducha szczepu i rozwoju oświaty.

---

Pan Gaudar wydał tom wyborowych kazań Bossueta, oraz studjum krytyczne kaznodziei, razem dwa tomy; pierwszy pod tytułem: *Bossuet orateur, études critiques sur les Sermons de la jeunesse de Bossuet*; drugi *Choix de sermons de la jeunesse de Bossuet, édition critique*.

Jestto praca poważna i sumienna. Krytyka tegoczesna już znakomicie przysłużyła się piśmiennictwu francuzkiemu, zwracając mu oczyszczone z błędów *Myśli* Pascala. Teraz podobnie odprowadza do autentycznego tekstu kazania Bossueta, które bardzo wiele ucierpiały na dowolności pierwotnych wydawców.

Bossuet improwizował na ambonie, zaglądając czasami do notatek, które z sobą przynosił. Nie pisał on całkowitych kazań i nie uczył ich się napamięć, ale się do mówienia przygotowywał starannie, notował okresy z Pisma świętego i Ojców kościoła, około których miała krążyć jego wymowa. Jedynie w bardzo młodym wieku pisał kazania, ale na to żeby myśl swoją lepiej ośwładać i lepiej wyrazić. Ztąd mnóstwo rękopismów niedokończonych, pomazanych, niezrozumiałych, nagromadzonych bez żadnego ładu, gdyż Bossuet nigdy nie miał zamiaru drukowania swoich kazań.

Dopiero w sześćdziesiąt ośm lat po jego śmierci zaczęto gromadzić i drukować kazania wielkiego kaznodziei (1772).

Benedyktyn Dom Deforis, wiele lat poświęcił téj pracy. Wydobył on rękopisma od siostrzeńca Bossueta, tegoż nazwiska biskupa de Troyes. Pięć tomów wydane przez Deforis'a obejmowały przeszło dwieście kazań. Później nie znaleziono ich więcej, ale poprawiono dominikańską redakcją.

Dom Deforis był skrupulatny po swojemu: zebrał i wydrukował wszystko co było ręką Bossueta napisane; ale sumienie które nie dozwalało mu nic odjąć, było mniej surowe co do dodatków. Sposób pisania Bossueta wybornie się do nich nadawał: myśl zaledwie wskazana dawała się nakreślać, rozciągać dowolnie; parę słów zapisanych na marginesie można było rozwałkować na długie okresy; więc téż Benedyktyn rozszerzał i po swojemu zapełniał szczyby. Z jednego wyrazu porosły całe okresy, którychby zapewne sławny kaznodzieja nie podpisał; z dosztukowań nietrafnych wynikł brak ciągłości, dowolne wiązania i przemiany stylu, które zmieniły do głębi kazania podane téj operacji.

Czy z téj, czy z innéj przyczyny, publiczność przyjęła chłodno owo wydanie dominikańskie. Nie zachęciła do czytania tych kazań, ani zapalna pochwała księdza Maury, ani ocena gruntowna którą d'Alembert podał w swojej *pochwale Bossueta*. Nic nie pomogło, więcej ganiono niż chwalono te kazania; nawet Châteaubriand za młodu był więcej zgorzony *dziwactwem*, niż zachwycony natchnieniem sławnego kaznodziei. Te właśnie dziwactwa poczytane mu później za zasługę, ściągnęły uwagę późniejszych krytyków na Bossueta. W skutek p. Cousin rozbioru *myśli* Pascala, wolni myśliciele wzięli się do studyowania Bossueta, to jest do porównywania jego rękopisów z wydaniem dominikańskim.

Pierwszy wziął się do tego w 1851 r. młody ksiądz Vaillant. Przedwczesna śmierć nie pozwoliła mu zrobić nowego wydania Bossueta. Pan Lachat podjął przedsięwzięcie i w edycji nowo wydanej, starał się wskazać i poprawić błędy Don Deforisa. Poznosił dodatki, rozłączył co było pomieszane, praca jednak nie wydała się dość starannie wykonaną i nie mogła być ostateczną. Pan Gaudar pokazał co było jeszcze do zrobienia. W tomie pod tytułem: *Etudes critiques*, wyjaśnił z przenikliwością niezwykłą kwestyę dat i tekstu; nadto napisał historię młodości Bossueta ze stanowiska jego postępów w sztuce krasomówczéj. Po dokończe-



niu tej wstępnej pracy, Gaudar wydał: *Choix de sermons de la jeunesse de Bossuet*, z notami i wszelkiem ułatwieniem badania tekstu. Praca ta p. Gaudar nie może się równać z p. Havet badaniem *Mysli* Pascala; ale Gaudar zadanie swoje z nieminiejszym dokonał staraniem.

Porządek chronologiczny układu kazań pozwala śledzić postępu, jaki rok każdy przynosił myślom i stylowi Bossueta. Bossuet młodością swoją należał jeszcze do okresu tworzenia francuzkiego piśmiennictwa klassycznego. Miał lat trzydzieści, kiedy Corneille wydał swoje arcydzieła; Rochefoucauld jeszcze nie ogłosił wtedy swoich *Zasad* (Maximes); Boileau nie był napisał jeszcze *satyr*, a Molier nie przedstawił *Pre-cyozów*. Bossuet zresztą, cały zajęty studyowaniem biblij i Ojców kościoła, mało czytał książek francuzkich, sam to wyznaje. Nie można się więc dziwić, że język kazań które pisał za młodu, nie jest wyrobiony. Później pozbył się chropowatości i wymusu, ale we wszystkich kazaniach pozostały allegorye, które może są nieodłączne od kaznodziejskiej wymowy.

W tymże roku 1649, kiedy Bossuet wygłaszał z ambony panegiryk św. Gorgon'a, skreślił rozpamiętywanie dla swojego własnego pożytku. Skłaniał sam siebie do wyrzeczenia się dóbr tego świata, za pomocą obrazu krótkości tego żywota, po za którym jakoś niewiele widział. Oto ten kawałek, uważany za arcydzieło Bossueta:

„Mała to rzecz, człowiek... i wszystko co czyni mało waży. Przyjdzie czas, kiedy człowiek który nam się wydawał wielki, nie będzie, albo będzie jako dziecko mające się urodzić. Chociażby po najdłuższem życiu, przypuśćmy tysiącletniem, trzeba nam na tém skończyć. Tylko trwanie mojego życia czyni mnie różnym od tego, co nigdy nie było. Różnica to bardzo mała, kiedy w końcu będę znów zmieszany z tém, czego niema; stanie się to w dniu w którym nie znać będzie że byłem; a wszystko mi jedno jak długo byłem, kiedy mnie już nie będzie. Przychodzę do życia z prawem wyjścia z niego; przybywam zrobić moją osobę, zaprezentować się, jak drudzy; potem trzeba zniknąć. Widzę idących przed sobą, inni zobaczą mnie przechodzącego; a ci znowu następcom swoim toż samo przedstawią widowisko... i nakoniec wszyscy zmieszamy się w *nicestwie*.

„Życie moje trwać będzie lat ośmdziesiąt, dajmy na to, lat sto. Przez ileż czasów nie byłem! przez ileż nie będę, a jak małe miejsce zajmuję w téj otchłani lat. Jestem niczem. Ten mały przeciąg niezdolny mnie wyróżnić od *nicestwa*, do którego iść muszę. Przyszedłem jedynie dla pomnożenia liczby; jeszcze nie wiadzano co zemną zrobić. Komedya nie byłaby mniej dobrze grana, gdybym był po za teatrem pozostał.

„Karyera moja trwać ma lat ośmdziesiąt. A ileż z tych lat ja policzę w ciągu mojego żywota? Sen podobny do śmierci. Dzieciństwo jest istnieniem bydlęcya. Ileż lat radbym wymazać z mojej młodości.. a jak będę starszy, ile jeszcze? Obaczmy do czego to wszystko schodzi: cóż mam liczyć, kiedy to wszystko już w rachunek nie wchodzi. Te tylko czasy warto liczyć w których miałem jakie zadowolenie, w których jakiego zaszczytu nabyłem. Jakże ten czas jest rzadko w życiu mojem rozsiany! Wygląda to jak ćwieki w odległości znacznej powbijane na długim murze; zdaje ci się że zajmują dużo miejsca... powyrywaj je, a nie będzie czem ręki napełnić.”

Wiele myśli, a nawet wiele wyrazów z powyższej medytacyi, weszły w sławne kazanie Bossueta o *śmierci*. To kazanie znowu, dostarczyło mówcy planu do sławnej mowy pogrzebowej: „*Oraison funèbre de Henriette d'Angleterre.*”

Wśród chóru pochwał, wyznajemy pokornie, że nam się kazania Bossueta wydają przechwalone. Jeżeli pominie-my oryginalne zwroty mowy, które poniekąd mają interes biograficzny; jeżeli wyjmiemy parę kazań wyjątkowych, jako to o *śmierci* i o *sądach ludzkich*, obojętność XVIII wieku na edycyą dom Deforis'a, wydaje nam się usprawiedliwiona. Uwielbienie takich ludzi jak Nisard i Gaudar, tłumaczy się przesądem, który na sądy literackie ogromnie wpływa. Tak na przykład, kazania o *jedności kościoła* które Bossuet powiedział 1681 roku, przy otwarciu zgromadzenia powszechnego francuzkiego duchowieństwa, zapala do najwyższego stopnia krytyków. Ksiądz Maury zowie je „najpiękniejszą pracą, jaka w tym rodzaju była napisana w jakim bądź języku.” Nisard jeszcze podwyższając tę pochwałę, oświadcza „że

krytyka jego zbyt słaba, nie może znaleźć słów do scharakteryzowania téj szczytnéj kompozycji.“

Po takich aplauzach mężów uczonych, trudno występować z naganą; jednak, nienależy tać swojej prawdy, trzeba mieć zawsze odwagę swoich przekonań.

Owóż, zdaniem naszym, Bossuet nie ma gruntu, czyli, co na jedno wyjdzie, grunt u niego, nie do niego należy. Nie jest on ani uczony, ani myśliciel, ani moralista; nie ma własnych poglądów; brak mu inwencji, własnego spostrzeżenia, własnego ducha. Wyobraźnią ma bujną, doskonałą znajomość stylu kaznodziejskiego; ale ta znajomość służy mu tylko do parafrazowania moralności powszedniej. Pomimo obszerności formy, wystawa jego jest czysto scholastyczna; nie cofa się przed żadną z tych trudności, których już znieść nie umiemy; a im mniej przedmiot nadaje się do prawdziwego wzruszenia, tém więcej mówca zapala się na zimno. Mowa jego złożona z zapytań i wykrzykników: A! O! Ach! bez końca.... Woła, że umysł jego się miesza, że w ocean zapada.... że oczy jego nie mogą znieść tak wielkiego blasku..! Ale tych wszystkich zachwyty nie udziela słuchaczowi.

Streszczając sąd nasz zuchwały, powiemy, że tak mało jest prawdy ludzkiej, powszechnej w tych kazaniach, że trudno się zajmować niemi nawet wstecz-poglądnie. Darownie stajesz na właściwém stanowisku, potracasz co należy na czas i zmiany, przypuszczasz rodzaj uświęcony, nie nie pomoże! Trzeba być straszliwie rozkochanym w krasomównie żeby się niém lubować, kiedy jest tylko formą retoryczną bez ducha.

Zaszczytnie znany w świecie literackim Paweł Roussélot, skreślił historią *Mystyków hiszpańskich*. Dzieło zajmujące, napisane wedle najlepszych tradycyí krytyki filozoficznój.

Badanie umysłów wzniosłych które do Boga apellują od smutków i radości tego życia, należy do najpożyteczniejszych duchowój stronie ludzkości. Ludzi takich, świętych w oderwaniu od walki, będącój zadaniem naszym na tym padole płaczu, właściwie nazwać można szczytnemi samolubami. Strapieni widokiem nędzy i cierpień ziemskich, odwracają



oczy od bliźnich i topnieją w kontemplacji Stwórcy, w zachwycie miłości rzeczy nadziemskich. Niebo otwiera przed niemi skarby pociechy, poi ich nadzieją nieśmiertelności. Na rozwiniętych skrzydłach wiary, lecą w czyste przezrocza, gdzie ich wieczny pokój czeka.

Taki wstręt do ziemi a pociąg do ideału bez dopełnienia pracy ziemskiej wyznaczonéj każdemu, kto się tu rodzi, widzimy u niektórych wielkich ludzi genialnych: Święty Bonawentura, Dante, Petrarca, Fenelon byli tacy. Szczęście które płomienna wyobraźnia znajduje w oderwaném połączeniu stworzenia ze Stwórcą, przyciąga w sposób nieprzeparty dusze zbyt czułe na niedostatki ludzkie, a nie mające siły, czy woli, wyrzeczenia się idealnego nieba na korzyść braci, cierpiących z powodu win własnych.

Ludzie tacy, potrzebni w wiekach średnich, bo wśród ogólnego skażenia i srogich walk rozhułkanych namiętności, tylko na pustelni można było przechować czysty ogień miłości bliźniego, nie potrzebni w epoce urzeczywistnienia myśli Zbawiciela, coraz stają się rzadsi. Obecnie, jedna tylko Hiszpania posiada jeszcze po klasztorach swoich mistyków: jestto fenomen godny uwagi.

Jakim sposobem rasa hiszpańska z natury twarda a jeszcze zahartowana ośmiu wiekami wojen; naród który zadusił świetną cywilizacyą Arabów; wyludnił nowy świat, wyniszczył Niderlandy; wydał Filipa IIgo, księcia Alby i Torquemadę; naród który zawsze miał pociąg do widowisk krwawych, czy to do auto da-fy, czy do walki byków; kraj gdzie tak w sztuce jak w literaturze góruje żywe poczucie realizmu—jakim sposobem naród tak może pojmować żywiej niż inne, idealne pieszczoty i mistyczne zachwyty?

Pytanie takie samo się nastrecza powierzchownie sądząc—rzeczywistość odpowiada faktem i zbija z tropu tych, co w zbyt ciasném kole zamykają definicyą narodowego ducha Hiszpanii. Ani narodu, ani człowieka nie można scharakteryzować jedném słowem. Różnorodne bogactwo ich natury wymyka się klasyfikacyi ryczałtowej, teoryi systematycznej, której się zdaje że fizyonomią jednym rysem odda.

Niewątpliwie, twardość jest wydatnym rysem Hiszpanii. Dumny ten, uparty i nieubłagany naród, wojnę domową prowadzi bez litości, nie oszczędzając ani krwi swojej, ani

krwi wroga; mści się wściekle; lubuje się w okrutnych odwetach: sam mogąc wszystko wycierpieć bez słabości, dzięką rozkosz znajduje w patrzeniu na cudze katusze.

Takimi znali Hiszpanów Rzymianie; takimi byli w walce o niepodległość; takimi znaleźli ich Francuzi podczas wojen Napoleońskich. Saragossa jest dalszym ciągiem Sagonty i Numancyi! Gwałty które nastąpiły po kapitulacyi Baylen, już widziano za czasu Scypionów. W epokach kwitnienia Hiszpanii, ludzie prywatni nie postępowali z nieprzyjaciołmi inaczej jak naród. Największą wadą Hiszpanów, mściwość: w tym względzie zasady ich zupełnie są przeciwne zasadom Chrystusa. Ileż ofiar torturowała i spaliła inkwizycja *święta* przy oklaskach tłumu. Iluż młodzieńców padło pod rogami byka, dla zabawy chciwój silnych wzruszeń powszechności.

Jednak, mimo to wszystko, omyliłby się ktoby o charakterze Hiszpanów chciał wyrokować z téj jednej okrutnej strony. Cóż sami ludzie co umieją nienawidzić tak potężnie, którzy przelewają krew na zimno, którzy namiętnie poszukują krwawych widowisk—umieją także kochać, i miłość swoją okazywać z czułością przedziwną. Nic śliczniejszego jak miłosne sceny komedyi hiszpańskich, wierne odbicia rzeczywistości. Wszystko co duch rycerski może natchnąć najszlachetniejszego, to kochankowie Lope de Vega i Calderona składają u nóg swoich kochanek. Ażeby je widzieć, narażają się na największe niebezpieczeństwa: żeby im się podobać, żeby ich zachceniom dogodzić, poświęcają bez wahania fortuny, spokój, życie... Mówią do nich wykwintnie, dobierając wyrażen najczulszych, malujących wszystkie odcienia uczuć, a zarazem zachowujące wysoki ton uszanowania. Jeżeli do ostateczności posuwają obawę o wierność kochanki i wybuchy zazdrości—to dochodzą także do ostatnich krańców poświęcenia i wierności. „Miłość urodziła się w Hiszpanii“ powiada Musset—tak go uderzyła w tym kraju moc tego uczucia, mianowicie w porównaniu z miłością francuską.

Ponieważ tak wielką jest wrodzona zdolność kochania w kraju Cyda, dusze religijne w samotności klasztornej musiały wybiedz wyżej, wznieść się uczuciem ponad rozkosze



miłości ludzkiej. Czułość ich oderwana od światowych przywiązań, cała zwraca się ku miłości Boga.

Tak się rodzi w głębi serca niektórych zakonników i zakonnic hiszpańskich szlachetny mistycyzm, którego Rousselot opowiada dzieje.

Rozumny przeciwnik nadużyć mistycyzmu, Rousselot dla tych mistyków hiszpańskich, którym zachwyty ducha natchnął piękne czyny, ma żywe uwielbienie. Nazwisko Śtej Teresy zawsze ze czcią wymawia. Ale dla tych co dla rozkoszy nadziemskich cierpienia ziemi porzucili: jest surowy — i słusznie. Szczęśliwi mistycy, którzy w porę się zatrzymują w pogoni bożkości; których żądza pomieszania się z Bogiem, nie idzie aż do zaprzepaszczenia osobistości człowieka, aż do utopienia swojego *ja* w łonie wieczności, jako kropli wody w oceanie. Wtedy już nie pozostaje nic z tego, co przynosi zaszczyt naszej naturze: wtedy człowiek zabija zarazem wolność i wolę, wysiłek ku dobremu — i usypia w bezpłodnej kontemplacji błękitu, zamiast z podniesienia ducha brać moc do pracy i walki. Do takięto bezpłodności wiodą doktryny Molinos'a i jemu podobnych. Dlatego rozsądny Bosseut z kościoła je wyrzucił.

O ile mistycyzm przesadny szkodzi, o tyle umiarkowane wybieganie myślenia ponad ziemię, może być pożyteczne. Nic wznioślejszego jak porywy miłości mistyków hiszpańskich wśród okropności wojen XVI wieku. Kiedy inkwizycja w Kadyksie i Barcelonie terroryzm szerzy, kiedy urzędowi obrońcy wiary ogniem i mieczem utrzymują panowanie religii, miłości, przebaczenia i miłosierdzia — duch chrześcijaństwa, miłosierdzia boskiego mistrza, schronił się w kilku duszach gorących i stworzonych do kochania, a nie dzielenia nienawiści prześladowców. Ci, tak dobrze poznali w mistykach hiszpańskich przeciwników swoich wyobrażeń, że mimo świętości ich życia, podali ich surowej kontroli; najdostojniejszych za podejrzanych mieli: podejrzaniem im byli Ludwik Leon, Jan de la Croix, nawet święta Teresa. Zbrodnią tych prawdziwych chrześcijan było, że mówili o miłości przed trybunałem, który znał tylko prawo siły zwierzęcej. Kochali gorąco Boga, ale nie odłączali miłości Boga od miłości ludzi. Z nieba gdzie ich płomienna unosiła wyobraźnia, wciąż powracali na zie-



mię z myślą litości dla wydziedziczonych braci, z gorącą chęcią ulżenia nędzy, ułagodzenia doli nieszczęśliwych.

Zniewagi wyrządzane przez inkwizycją tym czynnym mistykom, są ich największą pochwałą. Co im wyrzucano wtedy jako winę, to im dziś zaszczyt przynosi. Zarzucają im, iż zmiękczałą katolicyzm. Oni przeciwnie, jego najczystsze przechowali tradycje; a podczas kiedy ich prześladowcy dają nam pojęcia najtwardszój strony hiszpańskiego ducha, oni odkrywają światu obok urzędowój Hiszpanii rządzonej przez rozbestwionych fanatyków, istnienie innój Hiszpanii, Hiszpanii kochającój, w klasztornej ciszy zajętej dobrem bliźnich i uczynkami miłości.

---

Jeden z najznakomitszych współczesnych dramaturgów paryzkich Teodor Barrière, przedstawia obecnie w dwóch sąsiednich teatrach, dwie swoje sztuki z różném powodzeniem: wznowienie *Faux Bonshommes* w Vaudevillu odbierają co wieczór głośne oklaski—nową komedję *Romans d'une honnête Femme* przyjmują gwizdaniem.

Pan Barrière od niejakiego czasu nie ma powodzenia w teatrze. Przedostatni jego utwór: *Owce parszywe*, ledwie tydzień ostały się na afiszu; *Romans* uczciwój kobiety pewno dłużej nad miesiąc nie pożyje. Są to poronione płody. Autor *Paryżanów upadku* żyje jednak starą sławą, a jako z żywym i silnym, rachować się z nim trzeba. Przejrzyjmy jego ostatnie dzieło.

Paweł Castellan młody kapitan Spahisów, zaledwie przybywszy z Afryki do Paryża, miał dwie przygody: zakochał się—i został wyzwany na pojedynek. Stało się to w ciągu jednego dnia. W wagonie spotkał nieznaną kobietę, która nie mówiąc z nim ani słowa, szalenie mu głowę zawróciła.... na jedynoby wyszło zakochać się w spadającój gwieździe. W dworcu stracił ją z oczu. Tegoż wieczora wychodząc z restauracyi modnój, nadepnął na powłok schodzącój ze schodów damie.... Kobieta się rozśmiała widząc podarte koronki; ale ten co je kupił, towarzyszył damy, rozgniewany, wyrzekł zelżywe słowo „imbécile!” Oficer odpowiedział trafnie zastosowanym policzkiem—z tądy wyzwanie i pojedynek.

Mając się udać na spotkanie, Paweł układa papiery. wtém, ordynans oznajmia mu wizytę kobiety... oficer pozna-  
je w niej swoją wczorajszą wizytę z drogi żelaznej. Wie-  
rząc w tajemnicze sympatye, patrzy na nią zachwycony...  
Ale złudzenie wnet znika. Dama oświadcza, że się zowie  
Eliana Chabanel, i przybywa w imieniu swoich dwóch ma-  
łych córeczek, błagać żeby oszczędzał ich ojca, tego właśnie  
mężczyznę z którym ma się pojedynkować.

Wytrzeźwiony tém odkryciem młodzieniec, nie czuje  
się bynajmniej usposobiony łaskawie: zabiłby chętnie Cha-  
banela chociażby za to, że śmiał się ożenić z kobietą w któ-  
rąj on zakochany. Zamiast skryć okrucieństwo, wyjawia je,  
wraz z oświadczeniem. „Nie mam ochoty, mówi, oszczędzać  
twego męża, gdyż jestem w pani zakochany.” Pani Chaba-  
nel czuje się obrażona, ale Paweł tak śpiesznie i szczerze  
żałuje uniesienia, iż Eliana przebacza mu niepocziwe słowo.  
Spahis upokarza się przed nią jak lew pustyni przed czarod-  
ziejem — i przyrzeka uroczyście iż mąż jęj wyjdzie z poje-  
dynku niezadrażniony. Eliana odchodzi wzruszona, serce  
jęj ukojone... ale zarazem podbite.

Prolog ten, powabny chociaż błahy, dość dobrze roz-  
poczyna sztukę: zakrawa to na wytworną komedię. Ale  
akt drugi bez ostrzeżenia wpada w błazeństwo, przedstawia-  
jąc Chabanela i jego przyjaciela Toulignon'a.

Toulignon w którego ogrodzie ma się odbywać pojedy-  
nek, jest karykaturą dorobkowicza. Chabanel jest znów tak  
płaski i głupi, że trudno pojąć jakim sposobem Paweł mógł  
się z nim spotkać w jednej i téj saméj garnkuchni: Chabanel  
powinienby jadać gdzieś w szynku za rogatkami. Śmie-  
szność jęgo aż na żonę spływa: nie można sobie wyobrazić  
poetycznej Eliany małżonką tego sklepowego Sylena; do-  
braną jęgo połowicą byłaby jedna z owych bab potężnych,  
co siedzą za straganami.

Cóżkolwiekbydz, Chabanel przybywa na spotkanie z mi-  
ną zwycięzką. Przyjaciół Toulignon nie może się wydziwić  
jęgo bohaterській postawie... Tajemnica téj odwagi prosta:  
Chabanel uwiadomił żandarmeryę; ufny że w momencie  
wskazany przybędą rozjemcy, spokojnie ich czeka. Ale  
niewczesny przybysz, kwietyzm jęgo zakłóca, jestto Amery-  
kanin, którego na zastąpienie siebie przysyła drugi sekun-

dant. Figura typowa, chociaż już nieco na paryzkich scenach spowszedniała. Wyobraźcie sobie rośłego chłopca z twarzą śniadą, najeżoną brodą i okrutnym wzrokiem, podobnego do handlarza murzynów, który idzie sprawić im łaźnię. Straszliwa ta osoba nie rozumie pojedynku bez trupa z jednej, a ran z drugiej strony. Opowiada, że strzelił w łeb najlepszemu przyjacielowi za to, że mu na placu odwagi zabrakło.

Chabanel błędnie widząc się wydany w ręce temu Mohikanowi, a wnet zielenieje znalazłszy w kieszeni swój list do brygadiera żandarmów. Przepadło! Ostatnia godzina wybiła... Trzeba iść naprzód i bić się naprawdę. *Go head!* woła na opuszczonego przez żandarmeryą, nieubłagany Yankees z rewolwerem w ręku.

Nadmiar trwogi cuda czasami czyni: nic niebezpieczniejszego jak wściekły tchórz. Tą razą mieszcuch przesywa szpadą nie broniącego się kapitana. Odnoszą Pawła bez duszy do pokoju pani Chabanel, która dowiedziała się niegodnego powodu pojedynku. Widząc Pawła dobrowolną ofiarą tego spotkania, uczciwa kobieta wyznaje konającemu oficerowi swoją miłość.

Trzeci akt przenosi nas do Auvernii, gdzie nieszczęśliwa żona znikła przed złym mężem. Chabanel przybywa do jej domu na to jedynie, żeby od niej wyłudzić resztę majątku. Potrzebuje pieniędzy dla wyposażenia tej właśnie damy, której Paweł oberwał koronki. Ażeby zapewnić los bezmieniemu synowi, wydaje na nędzę swoje własne dzieci.... Czyż to prawdopodobne? Czy możebne? A cóż sądzić o tej matce, która nie czytając, podpisuje odzierający ją z mienia kontrakt.

Nikt z was zapewne nie przypuścił śmierci Pawła Castellan: skoro kochanek umiera w końcu drugiego aktu, niezawodnie zmartwychwstaje w trzecim, to rzecz wiadoma i przewidziana jego zaangażowaniem. Jakoż Paweł jawi się zupełnie wyleczony i srodze zakochany. Eliana przyjmuje go z zachwytem, ale jeszcze, jako uczciwa żona z sumiennością swoją walczy: chce pozostać wierną do końca.

Tu następuje scena silnie wygwizdana. Mąż z pełnymi kieszeniami wraca pożegnać żonę. Eliana żąda, żeby zwrócił te skradzione pieniądze dzieciom; on z niej szydzi.... mó-



wi że nie ma serca, wychwała swoją kurtyzankę i t. d. Toż to potwór, ten mieszczanin paryzki... był aptekarzem nie rozbójnikiem, jakimże prawem może być tak okrutny?

Rozwiązanie do dzieciństwa sztuki należy. Ponieważ dwużeństwo jest zbrodnią za którą wieszają, trzeba było Elianę zrobić wdową najkrótszym sposobem. W tym celu autor wsadził Chabanela na dzikiego konia, z którego kark skręcił w mgnieniu oka. Koń ten, uczony i opatrny, jest ten sam, który od niepamiętnych czasów zbieguje się w komedjach i rzuca kochankę w objęcia lubego, co na drodze nań czeka z wyciągniętymi rękoma. Rumak ten nieoceniony, mnóstwo małżeństw skojarzył. Caligula mianował swego konia konsulem; ten zasługiwałby na jaką wyższą godność.

Dwa tomy dzieł różnych razem opracowane, dałyby pojęcie tej komedyi niejednolitej, zrobionej z okrawka domowego dramatu i kawałka krotoczwili: miejscami to zblakłe, miejscami jaskrawe, niezgoda wszędzie. *Le Roman d'une honnête Femme* wcale się nie udał, i nic dziwnego: jakże może być dobra kopia kiedy brak naturalnego wzoru? Twór wysmażony w retorcie mózgu, gdzie także pojęcie uczciwej prostoty się zatarło, musi być kulawy i nieprawdopodobny.

Nowym sztukom Barriera brak bezpośredniej obserwacji natury, brak celnych strzałów, rzeczywistego obrysu przywar i charakterów. Wszystkie te zalety nie obecne w *Romansie uczciwej kobiety* znajdujem w *Faux Bonshomme*, przyjętej równie dobrze dzisiaj jak przed laty. Jestto komedya w prawdziwem znaczeniu tego słowa: szczerą, wesołą, wykrojona w żywcu śmieszności obyczajów. Cała ta galerya portretów którąśmy w swoim czasie na tém miejscu opisali, pozostała żywą. Podobieństwa rękojmią, jest właśnie trwanie: lat 12 nie postarzały ani trochę przedstawionych postaci.

Peponet nie jest figurą nową: odnajdujemy w nim poważne głupstwo, powszedniość i napuszystość Prudhoma, odwiecznej karykatury mieszczaństwa. Ale jestto nowy odcień starego typu: Peponet z fizyonomią dzisiejszą, może uchodzić za prawego syna pana Józefa Prudhom'a, który działał i kwitnął w bohaterskich wiekach gwardyi narodowej.

Druga figura w galeryi *Fałszywych poczciewiczów* Dufour-ré, jeszcze komiczniejsza: jestto drobny kapitalista francuzki, jadowity i skąpy, w samolubstwie zasklepiiony jak robak w sérze. Tyran w domu, skoro zeń wyjdzie, udaje czulego. Kiedy są sami, ciemieży żonę, ale niech przyjdzie trzeci, wnet zmienia ton i staje się najłagodniejszym mężem. Wyborna scena, kiedy ten fałszywy poczciewicz ubolewa nad chorą żoną przez lekarzy na śmierć skazaną. Niby płacze i wdycha... Ale przyjaciele, którzy się znają jak łyse konie, z pociechy w pociechę, nieznacznie wprowadzają go w jego właściwy charakter. Wtedy mąż widzi się wdowcem, swobodnym, zjadającym sam, co teraz jedzą we dwoje, widzi się, wywatowanym ciepło samolubstwem miękkim... Ujrawszy siebie takim w perspektywie, zaczyna się do siebie uśmiechać... myśli głośno... Wybuch śmiechu dwóch szyderców, zbudza go ze snu miłego na grobie małżonki.

Z nie mniejszą przyjemnością zobaczyliśmy także pana Bassecour, owego słodkiego człowieka, co to zawsze zaczyna od pochwały; lecz mu wnet jakieś *ale* na poprzek staje i frazes kończy się żmijowym ogonem. Zaczynasz pić słodkie mleko, wtém, nagle, witryol... Iluż takich!

Jeszcze lepszy Vertillac, ze swoją mechaniczną sztywnością. Nie znamy komiczniejszej sceny, jak kiedy ten suchy, łysy i żylasty automata finansowy prosi Peponeta o rękę jego córki dla swojego siostrzeńca.

„Pan Oktawiusz Deleroix, tu obecny staje się moim współnikiem we wszystkich operacjach wszelkiej natury; nadto, zapewniam jemu *hic et nunc*, kapitał na przypadek gdyby nieprzewidziane okoliczności mnie się kazały pozbyć ciężaru mojego; nadto, przy otwarciu mojego spadku, jeżeli wyż wspomniany Oktawiusz dowiedzie że istnieje, jak tego mądrze wymaga artykuł 725 kodexu cywilnego; tenże Oktawiusz wejdzie w posiadanie moich nieruchomości i ruchomości, funduszów, ziemi, budowli, młynów wietrznych i wodnych, borów, zagajników lub krzaków, nakoniec owoców wszelkich, także czynszów, mieszkań, zaległości renty i t. d. wchodzących w skład dóbr moich; które to dobra powinny być zupełnie zlikwidowane i bez hipotek legalnych, prawnych i konwencyonalnych, i to postanowiwszy, mam za-



szczyt prosić acpana, o rękę panny Eweliny Peponet, dla mojego siostrzeńca Oktawiusza Deleroix, wyż wymienionego.”

Oto prośba o żonę zredagowana wyraźnie, wedle przepisów prawa.

Wyż wymieniony Oktawius zkocha Ewelinę córkę Peponeta, ale jest ubogi, a do tego artysta: przywara nie do przebaczenia. To téż Peponet który nigdy dobrze nie mógł odróżnić malatury olejnej od wycisku na fularze, z zapalem odmawia ręki swój spadkobierki. Aż dowiaduje się że Oktawiusz jest milionowy z łaski wuja: więc przymierze sztuki z mieszczaństwem zawiera. Skoro wuj znowu wydziedzicza synowca za to że na giełdzie nie grywa, wtedy Oktawiusz postanawia zagrać lichwiarzom komedią, któraby im na zawsze obrzydziła arytmetykę. Łamie pędzle i idzie na giełdę, kupuje, sprzedaje, szachruje—aż miło. Skutkiem tego przeobrażenia, wuj zwraca mu szacunek, a Peponet córkę.

Oktawiusz ołówkiem giełdzysty, sam zredagował projekt kontraktu i przedstawia go teściowi. Peponet czyta i błednie... w tym kontrakcie mowa tylko o jego śmierci. Eskontując jego testament, koszą siano na jego grobie, proszą żeby co rychlej rzeczywistnił *nadzieje* małżeństwa, schodząc z tego świata polubownie, w oznaczonym okresie... Peponet protestuje, wrzeszczy, nie chce się podpisać na swój pomnik, dowodzi że jeszcze jary, choć stary. Daremnie! Pan Oktawiusz ostro kuty w statystyce na karnecie spisuje średnią istnienia teścia: kładzie zero, podkreśla, sprawdza dodawanie i pokazuje pocziwcowi, krótki kredyt dni pozostających mu do życia.

Z drugiej strony, wuj wygłasza zasady nie nowe a rozpaczliwe: interes interesem, niewiadomo kto z brzegu, nie jesteś nieśmiertelny i t. p. Tak pogrzebany przy podzwon-ném własnych dukatów, Peponet pada na krzesło szczękając zębami...

Jestto szczyt furji komicznej: crescendo dochodzi do najwyższych tonów ironii i wesołości. To mi komedia! Niewątpliwie najlepsza ze wszystkich jakie się pojawiły w Paryżu w tym ostatnim tuzinie lat, tak niefortunnych dla sztuki dramatycznej.

Dwóch wydawców podzieliło się wydaniem dzieł zupełnych pana Ampère. Levy wydał świeżo: *Histoire romaine*



à Rome i *Mélanges d'Histoire littéraire et de la littérature*. Dziś księgarz Didier wydaje drugą edycją celnego dzieła Ampèra: *Histoire littéraire de la France avant Charlemagne*.

Na tém to polu literatury uczonej, mianowicie odznaczał się przenikliwy i ciekawy umysł Ampèra. Posiadał on w wysokim stopniu ducha erudycyi, dar zdobienia i ożywiania najniewdzięczniejszych działów krytyki literackiej; umiał rozwijać kwiaty nawet w kopaliskach epok barbarzyńskich, z których inni przynoszą teksty suche jak kamienie. Najwłaściwszą dziedziną Ampèra był ów pas mglisty najdawniejszych początków, gdzie literatura miesza się z archeologią. Tam on wprowadza porządek, światło, kolor; tam sieje idee nowe, oryginalne poglądy, nieprzewidziane analogie, i z téj kombinacyi nauki wszechstronnej a głębokiej, wynikają perspektywy prawie malownicze, czyniące dzień tam gdzie noc była, odsłaniające z gruzów zwaliska prawdziwie nauczające.

*Historya literacka Francyi przed Karlomanem*, obnaża, w ich najgłębszém przedłużeniu korzenie piśmiennictwa francuzkiego. Istny to chaos, ów okres czterech czy pięciu wieków, ciągnący się od podboju Cezara do inwazyi Franków. Język łaciński umarł, a francuzki jeszcze się nie narodził. Barbarzyńcy oblegają cywilizacyą gallo-rzymską, która się ścieśnia widomie. Resztki piśmiennictwa istniejące jeszcze w owych wiekach ciemnych, czynią wrażenie zużytej pochodni, którą kilku ludzi podaje sobie w zmroku: rzecz ciekawa w księdze Ampèra śledzić ten płomień drżący. Przechodzi on z ręki pogańskiej do chrześcijańskiej, od retora do biskupa, od konsula do mnicha. Poezya klassyczna kona pod zimnem technieniem Auson'a i Rutiliusza; poezya chrześcijańska słabo gwarzy w ubogich wierszykach św. Paulina i Fortunat'a. Wszystkie siły umysłowe skupiły się w polemikach i apologiach kościoła, pobijających herezyą lub stawiających dogmata wiary. Ale z wieku na wiek te rzadkie pochodnie kultu rzymskiego gasną pod wzrastającym napływem barbarzyńców. Pomiędzy Siclonu Apollinaire a Grzegorzem z Tours, 500—539, noc nastąpiła i wszelkie światło zagasło.

Jeden z najciekawszych rozdziałów księgi Ampèra jest ten który poświęcił Grzegorzowi z Tours „Herodotowi Bar-

barzyństwa" jak go zowie autor, naocznemu świadkowi opowiadanych wypadków. Jego *Historia Franków* nietylko ma wartość jedyne go świadectwa, twardego ogniwa, bez którego łańcuch czasów byłby przerwanny; jest ona nadto, naiwnym wyrazem letargu, w jakim okropne czasy pograżyły wszystkie dusze.

Grzegorz z Tours jest już prawie barbarzyńcą: żadnego porządku ani planu w jego opowiadaniu, nieświadomość rażąca, łacina nie poprawna, zeszpecona akcentem germańskim. Najdziwniejsza w tém, zimna krew z jaką biskup, jeden z najlepszych ludzi swojego wieku, opowiada dzikie zbrodnie których był świadkiem. Zdaje się przywykły do krwi i potworów, twardość powszechna widocznie go spetryfikowała. Jednostajnym głosem jak godzinki, recytuje zdrady i zbrodnie które rozwściekłały Tacyta. Styl jego kamienny, porusza się jedynie skoro o herezyi mowa. Wtedy kronikarz ustępuje miejsca biskupowi wojującemu. Poza tém nic, prócz zimnej relacji świadka zeznaającego bez żadnych uwag, co widział. Często zdaje się że nie pojmuje rzeczy które opowiada.

I tak np. wymieniwszy po innych zbrodniach Klodoweusza zamordowanie przez niego Sigeberta, nie zmieniając tonu, dodaje: „Klodoweusz posiadłszy królestwo i skarby Sigeberta i lud jego jarzmu swojemu poddał. Co dzień tak Bóg wrogów Klodoweusza pod jego ręką łamał, bo ten król szedł z *czystém* sercem przed Panem i czynił co było Jemu miłym.”

Chociaż tak pisana *historia* Grzegorza jest arcydziełem w porównaniu z *kroniką* Fredegair'a, który jej dalszy ciąg pisał. W krótkim czasie dzielącym tych dwóch pisarzy, barbarya wszystko zalała. Noc była zupełnie czarna: różnica jasności taka jak między pełnią a nowiem. Grzegorz przynajmniej pamięta dzień, czytał Sallustiusza i Wirgiliusza; mówi o starym Rzymie jak o zaszłém słońcu. Fredegair urodził się w ciemności; piekielny nierzład pustoszący Gallią, wydaje mu się normalnym stanem narodów. *Historia* dlań schodzi do suchego wyliczenia faktów; najstraszniejsze wypadki w rachunek wciąga jak maszyna. Rzekłbyś, notaryusz końca świata. Tę zna jedyną zasługę, że niemoc swoją czuje.



Było to uczucie ogólne wtedy. Jednocześnie piszący Fortunat, ostatni poeta łaciński Gallii, z pokorą wyznaje ubóstwo swojego umysłu:

„Brak mi sztuki—woła—umysł mój ciężki jest i bezwładny; mówię gburowatym językiem; zaledwie parę kropel połknąłem z rzeki gramatyki; zaledwiem liźnął źródła retoryki: zardzewiałe słowa wychodzą z ust moich niesfornych.“

Jednak Fortunat i Fredeguire byli względnie światłem w owym mroku. Skoro te lampki pogasły, chodzono po omacku przez lat sto — nie było jednego promyczka literackiego światła.

*Vox tacuit, perit lux, nox fuit et fuit umbra.*

Ten wiersz wypisany na starym germańskim grobowcu, może służyć za epitafium owemu zgasłemu światu.

Przebiegnijcie te podziemia francuzkiego piśmiennictwa pod przewodnictwem Ampèra; on wam odczyta zatarte napisy i wytłumaczy archaiczne pomniki opromieniając je światłem swęj wiedzy. Przez niego komentowane gruzy nabierają życia.

Wyszło pośmiertne dzieło Proudhona „*France et Rhin*” Autor ostro i twardo występuje wobec swego narodu: nie oszczędza mu prawd gorzkich, a nawet często przesadza prawdę. W rozdziale *Considérations sur la nationalité française*, powiada: pokolenie dwuznaczne. Pomieszanie ras; charakter zniewieściał, lekki, próżny, gadatliwy, gapiący się, głupi: patryotyzm i poszanowanie narodowości mierne. Potem następuje długie wyliczenie cudzoziemców, których Francuzi zbyt mocno uwielbiają. Proudhon wyrzuca im miłość cudziemczyzny i to, że nie umieli zreformować swojej religii. Dalej powiada że Francya nie umiała żyć w zgodzie z żadnym ze swoich rządów, nie umiała zrobić porządną rewolucyi, przez co doszła do despotyzmu miłości przywileju, podwładności i szuka centralizacyi. Jeżeli Francya postępuje, to dlatego że jej próżność nie pozwala w tyle pozostać. Francya grała rolę nie przez swój geniusz, ale przez pozycyą i rozmiar. Francya nie ma geniusza. Porzuciła, zaparła się, zniczyła swoje najszlachetniejsze dzieci. Towarzystwo Jezusowe jeszcze Francyą rządzi. Upadku



swojego ducha Francya dowodzi militaryzmem. Chwałę narodu, mówi w końcu autor, jest czynić wielkie rzeczy zachowując czystość swojej krwi, tradycyi i ducha. Czyż to nasza chwala? Nie dopiełiśmy wielkich przedsięwzięć, chwala nasza uzurpowana; jesteśmy bez tradycyi i bez zasad.“

Wyż przytoczone zdania i sądy dowodzą, że jeżeli Proudhon nie innych oszczędza szczepów, ani narodowości, nie mniej surowym jest dla swojego własnego kraju.

— Pan Feer professor tybetańskiego i mongolskiego języka w szkole języków wschodnich, wydał książkę o potędze i cywilizacyi mongolskiej w XIII wieku. (*La puissance et la Civilisation mongoles au Troisième Siecle*). W treściwym obrazie autor pokazuje jak się utworzyło państwo mongolskie, jak siebie zniszczyło, w jakich stosunkach pozostawało z monarchiami chrześciańskimi, a mianowicie z królami francuzkami. Dalej mówi o usiłowaniach Francyi celem oświecenia tego państwa, wedle nowo odkrytych dokumentów. Wszystkie te rzeczy Feer dla większej publiczności opowiada zrozumiale. Studium tak dalekiego kąta ziemi zajmuje Francuzów jako ognisko dzicy, która spadła na Europę i postać jęj zmienila; dla geografów i etnografów jest ważne, gdyż rozprzestrzenia pole ich obserwacyi.

— Felixa Belly książka: *A travers l'Amerique centrale le Nicaragua et le canal interoceanique*, mocno zajmuje tutejszych przemysłowców. Jestto książka nie bez wagi naukowej. Autor opowiada o drugiej półkuli wiele szczegółów nieznanych; styl piękny, moc przekonań, w sferach wyższych stawia wielkie przedsięwzięcie kanału Nicaragua i jedna mu nie mało współpracowników we Francyi.

